



MALY ŚWIATEK

CHASOPISMO
ILLUSTROWANE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
wychodzi 1., 10. i 20. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: w kraju rocznie 4 zlr., półrocznie 2 zlr., kwartalnie 1 zlr. Z przesyłką kwartalnie o 15 ct. drożej. W Ks. Poznańskim 8 mr., kwartalnie 2 mr. **Skład główny** w księgarni J. Leitgeb'a i Sp. w Poznaniu, ul. Wilhelmowska. **Adres Redakcyi:** Lwów, pl. Maryacki l. 10. **Adres Administracyi:** Lwów, Rynek l. 39. sklep p. Heleny Jaworskiej.

Józef Korzeniowski.

Dnia 19. marca zbiegły się dwie rocznice. — W tym samym dniu, w którym minęło 10 lat od śmierci Kraszewskiego, upłynęło też 100 lat od chwili w której przyszedł na świat inny, także znakomity pisarz polski: Józef Korzeniowski. W tamtym numerze zapoznaliśmy was z życiem jednego, dziś opowiemy wam o drugim.

Józef Korzeniowski urodził się w dawnym folwarku ekonomii brodzkiej. Pierwsze lata spłynęły mu pogodnie pod opiekuńczemi skrzydłami rodziców. W podeszłym wieku sięgając wstecz wspomnieniami, tak opisał swoje miejsce urodzenia: »Był to raik dla dzieci żywych i zdrowych, mających wszystko, czego dziecinna dusza zapagnęła: opiekę rozumną a nie ciężką, wygodę i dostatek łakoci, pole do biegania, swawoli w lasku tuż za bramą, gdzie była swoboda, był cień i tyle ptaszków, które uczyły mnie zawczasu śpiewać... — Życie to swobodne, wśród rodziny i przyrody, przerwała szkoła niemiecka w Brodach, do której oddano malca w ósmym roku na naukę. Ze uczył się dobrze i pilnie widać z tego, że w owej trzyklasowej szkółce w Brodach uzyskał najwyższą odznakę: żółtą wstęgę z wielką kokardą, na której był zawieszony tombakowy medal z napisem: „Zur Belohnung“. O medalu tym opowiada w swym pamiętniku następujące zdarzenie, które musiało go bardzo dotknąć, kiedy zapamiętał je do starości: »Pamiętne mi z owego czasu upokorzenie miłości własnej, któremu doznał i które mnie wiele łez i zdrowia kosztowało. Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszym miejscu

w szkole siedzący, zaprosiłem córki mojego gospodarza na egzamin, upewniając je, że dostanę order na szerokiej żółtej wstędze z napisem z jednej strony „Zur Belohnung“, a z drugiej z ogromnym orłem austriackim. Tymczasem order dostał niejaki drymbłas, Łoziński, chłopak mający dwa razy tyle lat, co ja — a ja, tylko pochwałę! Panny ze mnie żartowały, że się przechwalał, a mnie serce się ścisnęło i płacz serdeczny mnie porwał. Ale za to w roku następnym — mówi — pamiętam, jak dziś, z jaką fantazyą prowadziłem ordynek ze szkoły do kościoła, a na szyi mojej błyszczała ta żółta wstęga, na trzy palce szeroka, z wielką kokardą na piersiach i owym upragnionym tombakowym medalem«.

Po ukończeniu szkoły w Brodach, oddali go rodzice do gimnazjum w Zbarażu — a następnie do Czerniowic, gdzie zamieszkał w domu wuja, ale gdy za namową wujenki, Niemki, napisał do matki na imienniny niemiecki list, ojciec tak się tem obruszył, że chociaż był niemajątny, a wuj obiecał kształcić chłopca własnym kosztem, zabrał go i oddał na naukę do znakomitej szkoły Krzemienieckiej, która słynęła w całej Polsce, i zajmowała pośrednie miejsce między gimnazjum a wszechnicą. Tu wdrożył się młodzieniec do pracy i nauczył się o własnych stąpać siłach, trzeba wam bowiem wiedzieć, że od 15 roku życia zarabiał sam na utrzymanie.

Od wczesnej więc młodości zabrał się do pracy, która i później, gdy już drugich nauczał, stała się hasłem jego życia. Wierzył on, że tylko pracą, pracą na wszystkich polach, w warsztacie, w fabrykach,

w życiu prywatnym i publicznym — zdobędziemy ojczyznę. Z całego szeregu zdrowych rad i przestróg, które starał się wpoić w społeczeństwo polskie, powinniście zapamiętać przede wszystkim tę jego zasadę, że podstawą szczęścia narodu, powinna być uczciwa, cicha praca zawodowa. Sam też pracował wytrwale, sumiennie, gorliwie; najpierw jako nauczyciel prywatny, później jako profesor i dyrektor w gimnazjum, a wreszcie jako wizytator szkół, poświęcając siły i zdrowie swe wychowaniu młodzieży.

W pamiętnym roku 1861, przed wybuchem powstania, kiedy w królestwie polskim zabłysła nadzieja lepszej przyszłości, Korzeniowski powołany na kierownika wydziału oświecenia, składał resztki dogasającego żywota na ołtarzu młodzieży. Trafiła go już wówczas zabójcza choroba piersiowa, wiedział dobrze, że go dobija wysiłona praca, mimo to jednak dobywał wszystkich sił i pracował dalej, pracował do końca. Gdy porywały go ataki kaszlu, i zdawało się, że już ostatnie wydaje tchnienie, przynoszono mu miseczkę z gorącą wodą, oddychał przez kilka minut parą, kaszel na chwilę ustawał, a on brał się do roboty z dwojonną energią. Wśród pracy też wyzionął ducha w 1863 roku.

Był to człowiek nieposzlakowanej prawości, sumienny w spełnianiu swych obowiązków, zarówno rodzinnych jak społecznych. Względem wyższych od siebie zachowywał się z godnością, bez pochlebstwa i przymilania — dla niższych był uprzejmy i łagodny.

Napisał on około stu powieści, dramatów i komedii nie licząc prac drobniejszych. Niektóre z nich z biegiem czasu poszły w zapomnienie, ale wiele podziwiamy jeszcze dotąd. Prace jego odznaczają się doskonałym wykończeniem i w tem przewyższa Kraszewskiego, choć nie dorównywa mu bogactwem pomysłów. W pismach jego przeważa rozsądek nad fantazyą. Patrzy na świat trzeźwo i chłodno. Dzieła Korzeniowskiego nie porywają czytelników, ale pobudzają do myślenia.

Zaczął pisać wcześniej, jeszcze na ławach szkolnych układał utwory poetyczne, później pisał dramaty, a w końcu powieści. Niektóre ze sztuk jego zachowały się dotąd na scenie, a pisał tragedye historyczne jak »Stefan Batory«, poważne dramaty jak »Żydzi« i wesołe komedijki ludowe jak »Majster i czeladnik«. Najulubieńszym ze wszystkich jego utworów dramatycznych jest sztuka narodowa »Karpaccy górale«, którą dotąd grywają w teatrze. Wśród powieści jego najznakomitsze są: »Tadeusz Beziemienny«, »Krewni« i »Kollokacya«. — W »Krewnych« przedstawia Korzeniowski dwóch młodzieńców, potomków zubożałej rodziny szlacheckiej. Starszy wychowuje się na pańskim dworze swego stryja, wychowuje się w dostatkach i zbytku, a wychodzi na pasorzyta bez charakteru i osobistej godności. Młodszy brat wprost przeciwną obiera drogę, mając więcej siły, woli i dumy, pragnie samodzielnie wywalczyć sobie stanowisko. Idzie więc do rzemiosła, odbywa termin u stolarza, a po kilkuletniej, wytrwałej pracy, zostaje majstrem stolarskim i zjednywa sobie powszechny szacunek.

Korzeniowski nie żądał od ludzi rzeczy nadzwyczajnych, ale zalecał zawsze „złoty środek“ — miarę; pragnął naprawy złego i wskazywał ziomkom drogę sumiennej, uczciwej pracy, która zapewnia ludziom zadowolenie i czyni ich użytecznymi członkami społeczeństwa.

KTO WINIEN?

POWIEŚĆ Z ŻYCIA MŁODZIEŻY WARSZAWSKIEJ

przez

Izę Moszczeńską.

(Nagrodzona na konkursie „Małego Świątka“).

(Ciąg dalszy).

Pani Warska dla edukacji dzieci mieszkała w Warszawie, mąż jej choć często przyjeżdżał, przeważnie na wsi przesiadywał, gospodarstwem i interesami różnymi zajęty. Właśnie o tej porze nie było go w domu. Długo jeszcze siedziała matka, a gdy o trzeciej rano zbudził ich z męczącego snu dzwonek, byli już zupełnie spokojni i przygotowani na wszystko. Henryk ubierał się milcząc. Dwie godziny trwała rewizya. O piątej krótkim i serdecznym uściskiem pożegnał się z matką i siostrami i pojechał do cytadeli.

Zaczęły się ciężkie, długie, samotne godziny więzienia i rozmyślań. Czytać mu nie pozwolono, ani listów pisać, miał więc dosyć czasu na rozpamiętywanie. — Tam w domu martwią się i płaczą — myślał — z mojej winy. A jednak tak się stać musiało. Dla nas to tylko zmartwienie, dla Bolańskich byłaby klęska.

Myślą był ciągle między swymi.

— Teraz siostry wracają z pensyi — mówił sam do siebie — teraz znów siadają do obiadu. Już wieczór, zbierają się razem w jadalni. Może kto z gości przyszedł. Dawniej bywało u nas tak wesoło! Śmiechy, żarty, a teraz? Łzy i westchnienia. Mama tęskni i płacze. Co oni tam robią?

W godzinach przeznaczonych na odwiedzanie więźniów, przychodziła zawsze jego matka, czasem w towarzystwie córek. Widywali się tylko przez kratę, rozmowy słuchali żandarm, nie wiele można było mówić. Henryk zapytywał o kolegów, nikt ich nie widział.

— Nie pytali się o mnie? — badał. — Nie. — I Antek nie przychodzi? — I on nie. — Pytania takie powtarzał często i zawsze przeczącą otrzymywał odpowiedź. Bolało go to niezmiernie.

Tak go lubiono dawniej! Był duszą klasy, żyć bez niego ci chłopcy nie mogli. A teraz? Czy zapomnieli o nim? Nikt się o niego nie zatroszczy, nikt nie zapyta! Wpadł jak kamień w wodę, a powierzchnia jej pomarszczona na chwilę, znowu tak samo gładka i cicha, jak dawniej.

Mniejsza o innych nareszcie, ale Antek! Przecież on wie, że to z jego przyczyny, że to dla jego szczęścia...

Myśl ta dręczyła go i gryzła. — »Nie wdzięczny, samolub — narzekał w duszy — a ja go tak kochałem!«

Dość często powoływano go do śledztwa. Powtarzał ciągle jedno, nie zdradził ani jednego nazwiska, sam się przyznawał do wszystkiego, na pytania drugich krótkie tylko i przeczące dawał odpowiedzi. Jednakże niecierpliwiło go niezmiernie wieczne powtarzanie tego samego, bezczynność i ciągła samotność wprawiały go w pewien rodzaj gorączki. Dokuczał mu też brak ruchu i powietrza. Krótkie przechadzki po podwórzu więziennym budziły tylko tęsknotę za rozległym obszarem łąk i pól, za gwarem ulicznym, za zielenią parku, za życiem i swobodą. A maj był taki śliczny! Słońce tak jasno, tak promiennie oświecało mury więzienne. — W Łazienkach pewno słowiki śpiewają, bzy kwitną w botanicznym ogrodzie, wszyscy używają wiosny i życia, a on siedzi samotny w swej celi. Ale pociechą mu była myśl, że spełnił dobry uczynek; sumienie miał spokojne i to było jego nagrodą. Antek powinien mu być wdzięczny, a jednak zapomniał o nim. Im dłużej trwało zamknięcie, tem więcej stawał się rozdrażniony. Czasem błyskała mu myśl, że jedno słowo mogłoby go oswobodzić. On sam tego słowa nigdy nie wymówi, ale Antoś wzruszony jego cierpieniem, powinienby go uwolnić od spełnienia ofiary! — To byłoby źle, bardzo źle — myślał zaraz, a jednak czas jakiś bawił się przypuszczeniem, że Bolański chcąc go uwolnić, sam się oskarża, że wywiązuje się pomiędzy nimi szlachetne współzawodnictwo o to, kto kogo poświęceniem przewyższy. Lecz marzenia te nie spełniły się, mijały dni, tygodnie i nic się nie zmieniło. Wciąż ta sama cisza więzienna i te same tęskne rozmyślenia.

Mimo swych cierpień, nie doznawał jednak Henryk takich tortur moralnych, jakie równocześnie przechodził Bolański.

Po owym śmiałym i nierozważnym kroku, który w chwili najwyższego podniecenia wykonał, zapadł w rodzaj osłupienia. Gdy go żandarm do cyrkułu z innymi prowadził, zdawało mu się, że idzie w jakąś ciemną przepaść, w którą wraz z nim runą wszystkie jego marzenia i plany przyszłości, że w tę czarną otchłań wpadają ojciec, matka, dzieci, wszystko, co bliskiem i drogiem mu było. A on ich ratować nie może! on sam ich cią-

gnie, popycha, burzy całe szczęście rodzinne! Słowa wypowiedziane w śledztwie przez Henryka były dla niego, jak gdyby światłem błyskawicy, która otaczając go noc oświeciła. Było to drugie silne wstrząśnienie, po którym oprzytomnieć nie mógł. Sam nie wiedział i nie umiałby powtórzyć, co mówił przy śledztwie. Odpowiadał machinalnie bezdźwięcznym głosem »tak« lub »nie« i nie zdawał sobie z tego sprawy. Dopiero gdy wracał do domu sam, bo kolegów puszczono wcześniej, a jego ostatniego badano, spostrzegł się, że mógł, że powinien był przeszkodzić temu, co się stało. Dotychczas działał automatycznie, jak we śnie, lecz gdy oprzytomniał, nowa ogarnęła go rozpacz. »Tchórz« — mówił sam do siebie i szedł do mieszkania z postanowieniem, że powie od razu rodzicom całą prawdę, a sam pójdzie znów do cyrkułu i sprawę wyjaśni. W owej chwili ogarnął go głuchy spokój skazańca, idącego na szubienicę. Lecz zaledwie znalazł się wśród swoich, wola jego znów się zachwiała.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ZBUDŹ SIĘ!

Zbudź się trawko... już wiosenka
Zapukała do okienka,
Już wiatr chmury porozwiewał
I skowronek już zaśpiewał.
Zbudź się gaju ukochany,
Wszak ty dosyć już wyspany,
Teraz trzeba ci sukienki,
Lubych ptasząt znów piosenki,
Więc listkami się odziewaj
I swym szmerem piosnkę śpiewaj.

Zbudź się łąko na dolinie,
Widzisz potok szybko płynie,
Już lodowy pancerz zginał,
Potok wstęgę swą rozwinął,
Więc ty łąko strój się w kwiaty,
By czem było ubrać chaty,
I w kościele, na niedzielę,
Trza na ołtarz kwiatów wiele.

I ty ziemio matuleńko
Budź się ze snu przedziuteńko.

Trzeba wywieść ostre pługi
I zaorać zagon długi,
Trzeba posiać ziarna żyta,
Bo się dziadus o chleb pyta
I są głodne biedne dzieci,
Więc gdy słonko ciepłe świeci
Zbudź się ziemio — przyszedł czas,
Teraz musisz karmić nas!

Jadwiga z Zubrzyckich S.

USTĘP Z „POWIEŚCI BEZ TYTUŁU“

J. I. Kraszewskiego.

— 2 —

Wszystkie wiosny dotąd odczytywane, były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanej szacie i nie dziw, że jej twórca tak się zarumienił, poczuwszy za późno zuchwalstwo swoje. I bał się tego, co zrobił i chęć oprzeć się nie mógł, sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego; narreszcie na ogromną zebrał się odwagę, przyniósł do klasy z bijącym sercem owoc rozkosznych i gorących dumań swoich dziewicznych.

A trzeba wiedzieć, że ten co tak śmiało zadanie zrobione przez wszystkich prozą, sam dobrowolnie w poezję zamienił, był nowym w szkole, przybyszem do klasy, prawie nieznanym nauczycielowi, a niewiele zażyłym jeszcze z towarzyszami. Wystąpienie to niespodziane zrodziło szmer podziwienia — wszyscy poczęli się uderzać łokciami.

— Słysz, słysz! — wołali — dalibóg Piwonia napisał wiersze!

Zwali go piwonią dla zarumienionej i krwią młodą ciągle oblanej twarzy.

Nauczyciel, który dotąd ledwie z nazwiska znał ucznia, zastanowił się, wołając:

— Co? co? wiersze?

— Tst, tst — rozległo się po całej klasie.

Oczy pocziwego literata z zajęciem, z sympatyą zwróciły się na młodego chłopaka, zbliżył się do jego ławki, sparł na niej i spuściwszy po chwili źrenice — słuchał milczący, zadumany.

Ale to wyteżenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczów, uciszenie się klasy, odebrało ostatek niewielkiej odwagi biednemu Piwonii, głos gasł, plątał się i zabrakło tchu nareszcie. Dwie pocziwe łzy, łzy, które całą przyszłość wróżyły poecie, popłynęły po policzkach spalonych rumieńcem.

Nauczycielowi przykro się zrobiło, może pomyślał, że ten, który tak występował na

ławie szkolnej i na świecie rady dać sobie nie potrafi, może się ulitował nad biedakiem, powoli ująwszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu i sam już czytał po cichu ową wierszowaną wiosnę.

Tymczasem Piwonia stał, palony oczyma wszystkich, jak pod pręgierzem i zdawało się, że wstyd niewczesny i bojaźń go spali. Uczniowie szeptali, wskazując sobie palcami poetę, który w tej chwili już dostał nowy przydomek. Jedni poglądali nań ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy, na który się nowy uczeń odważył, nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całej klasy na resztę lat nauki nieodwołanie wykreślił.

Z biednego ucznia oczy kolegów padały na twarz nauczyciela, szukając na niej oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nic nie znalazły w bladych rysach zmęczonego człowieka, po których nie przesunęło się nigdy to, co dotknęło duszę. Czytał spokojnie, do samych oczów przybliżywszy papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii i skinął głową, przechodząc do następnego ucznia, nie nie odpowiedziawszy, wejrzeniem ukradkowym tylko mierząc młodego poetę.

Ten usiadł, spuścił głowę i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie do końca śmiertelnie długiej godziny.

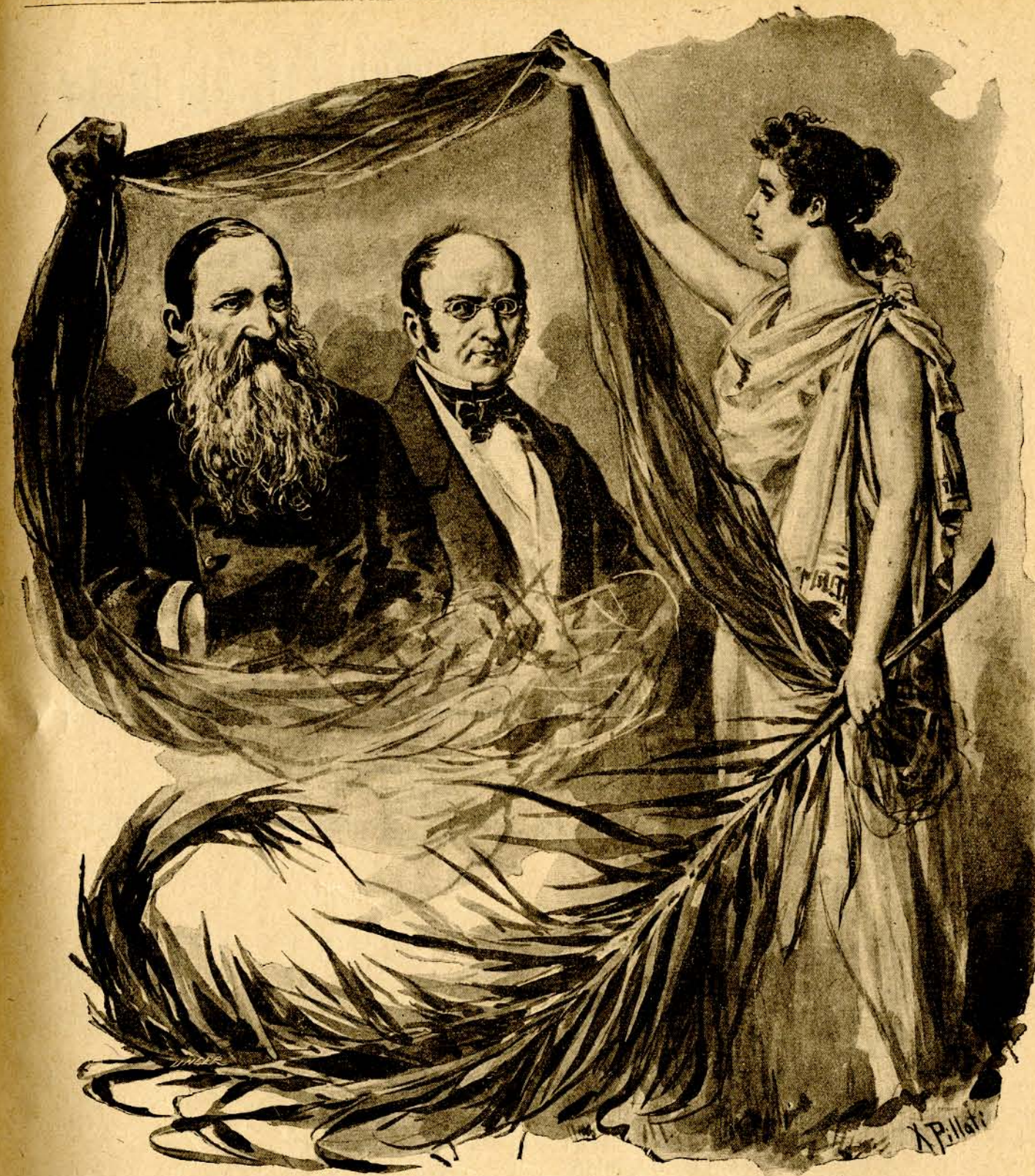
A nic to było jeszcze wystąpić z tą nieszczęsną wiosną, niczem ją przeczytać, niczem ukazać pocziwemu nauczycielowi, ale po skończonej godzinie, jak tu się pokazać współuczniom, których szyderstwo chybić nie mogło. Gdy zegar wybił dwunastą, a profesor poszedł do katederki na odgłos dzwonka i począł zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz, którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł, Piwonia czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.

Za profesorem wyrwali się z klasy uczniowie, jak woda zburzywszy groblę i zaleli korytarze, jedni śpiesząc do domu, drudzy w różne rozbiegając się strony. Ale pospiech ten nie ocalił nieszczęśliwej ofiary, która się pierwsza ucieczką ratować chciała; otoczono poetę, szarpiąc go, chwytając, uderzając rękami i słowy.

— Vivat poeta — krzyczeli jedni.

— Słyszysz Piwonia, przyznaj się skąd wiersze ukradłeś? — wołali drudzy.

— Jaki tęgi — rzekł ktoś trzeci — chce nas wszystkich zakasować, odznaczyć się i solo basso występuje z wierszami.



Józef Ignacy Kraszewski i Józef Korzeniowski.

— Dajcie pokój, widzicie, że i tak ledwie mu krew z oczu nie tryśnie, tak się zarumienił.

Dobrze jeszcze, że po dwunastej każdy śpieszył do domu i nie bardzo czas mieli dokuczać Piwonii, ale droga do dworców, w których się mieścili uczniowie, dozwalała przedłużać prześladowanie do wrót mieszkania,

a klasa piąta połączywszy się z szóstą, wiodła ofiarę swoją aż do ganku domostwa, nielitościwie ją szpilując przezwiskami i szyderstwami.

Piwonia z głową spuszczoną szedł do dworku. Nieczuły prawie na zaczepki i prześmiewania towarzyszy swoich, którzy go

nie opuszczali, podwajał kroku, żeby co prędzej sam na sam z sobą pozostać, a słowa kolegów spadały w końcu na niego, jak zimne liście jesienne z niezrozumiałym szelestem. Tak przeprowadzony dostał się do domku, wpadł we drzwi szybko i znikł w nich nareszcie. Ale i tu nie mógł już być spokojnym, czekał go pan dozorca, który o grzechu wierszy wiedział od nauczyciela, spotkali go towarzysze mieszkania z klas różnych, na ulicy złapawszy ciekawą plotkę...

Chórem zakrzyknęli wszyscy na niego, gdy do stancyjki wchodził, a pan Jacenty, poczciwy, suchy, długi z wysoko zaczesanym czubem mężczyzną, w białym kożuchu szalenie opiętym, za którym tkwiła tabakierka i chustka kraciasta, uśmiechem dwuznacznym i poprawieniem włosów, w progu przywitał swojego ucznia, unikającego wejrzenia, a usiłującego co prędzej ukryć się w kątku.

Przebiegłszy pierwszą izdebkę jak oparzony, Piwonia dopadł swojego łóżka i stolika w drugim pokoiku, rzucił książki, do szuflady wsunął seksterna i siadł znużony na posłaniu. Otoczono go kołem, a pan Jacenty stojąc na czele gromadki, wyprostowany, sztywny, milczący, ciągle gładząc czuba i czoła, uśmiechał się nielitościwie. Młodszy uczniowie obskoczyli go jak szarańcza, śmiejąc się, chichocząc i napadając zapalczywie.

— A, Szarski poeta!

— Zadeklamujże cokolwiek.

— Winszujemy, prosimy!

— Dla mnie kawałeczek wiosny!

— I dla mnie!

— I dla mnie! — zaczęli śpiewać tonem, jakim się napierali chleba z masłem na śniadanie nielitościwi malcy, wyciągając za atramentowane ręce.

— Dajcież mi pokój, proszę — przybity, odezwał się, zasłaniając sobie oczy Stanisław — dajcieżmi pokój, bo doprawdy gniewać się będę...

— A zacóżbyś się waćpan miał gniewać?

— zapytał poważnie, jak zawsze, dozorca pan Jacenty — naturalna to bardzo rzecz, że wszyscy się dziwujemy, winszujemy i śmiejemy! — To mówiąc, pogładził czuba, obciągnął kożuska i za ukazaniem się nadtłuczonej fajansowej wazki z bulionem, która oznajmywała obiad studencki, stanął za swoim krzesłem. Wnet na ten znak, zgłodniała rzesza rozsypała się, spiesząc zająć zwykłe miejsca swoje, zaszastały krzesła, rozszedł się szmer błogosławieństwa i biedna ofiara wiosny, odkupiona na chwilę głodem towarzyszków — zająta po cichu miejsce swoje u stołu.

SKRZYDLATE KLEJNOTY.

Obrazek z natury.

[Dokończenie].

Po dwóch tygodniach na dnie malutkiego gniazdka leżały dwa jajeczka, ot takie duże, jak ziarna wielkiego bobu. Samiczka pilnując jajeczek, prawie nie opuszczała gniazdka. Czasem tylko zanurzała długi swój dziobek w kielichach kwiatów rosnących blisko jej domku, częściej małżonek przynosił jej owady, które wydobywał z kwiatów.

Nareszcie dnia jednego pękły skorupki jajeczek, a z nich zapomocą mamy wydobyły się dwa dziwaczne, śmieszne, bardzo śmieszne stworzonka. Niedołężne to było i szkaradne, małe, czarne, nagie, ślepe, z długimi szyjkami; ledwie umiało to otwierać szkaradne pyszczki.

Ojczulek, piękny, błyszczący, ustrojony w drogie klejnoty, przestraszył się aż, ujrawszy te małe potworki.

— Czyż to być może — pomyślał — aby te szkarady stały się kiedy do mnie podobne? — Kiwał główką i nie mógł pojąć, że to są jego dzieci.

A mateczka zachwycała się niemi.

— Patrz, jakie prześliczne — mówiła do męża. — Widzisz, jak miluchno otwierają buzie, skoczże i przynieś im co zjeść.

— Topazik nic nie odpowiedział, nie chciał bowiem martwić żony, ale nie prędko powrócił z żywnością, nie spieszo mu było do szkaradnych dzieciaków. Ona tymczasem wyszukiwała owadówi wkładała je w brzydkie dziobki swych ukochanych malców. Wygrzewać ich nie potrzebowała, bo słońce grzało je samo.

Po kilku dniach zaczęły się zmieniać małe szkaradniki, pokrył je delikatny, szary puszek, dziobki zaczęły odrastać, słowem, wyładniały.

— Widzisz, jak pięknieją — mówiła żona.

Mąż nie uznawał tej piękności, ale widząc wielką zmianę, pomyślał: Kto wie, może jeszcze wyładnieją. Zobaczymy.

Razu pewnego namówił on swoją żonę się, aby z nim razem przeleciała się troszeczkę.

— Dzieciom nie stanie się nic złego, gniazdko ukryte dobrze wśród liści. Chodź więc, użyj trochę swobody, bo w końcu zapomniesz latać. Wesola i fertyczna pani To-

pazikowa nie dała się długo namawiać, bo chociaż, jak każda mama, kochała swe dzieci szczerze, nie mogła długo zostawać bez ruchu. Uporządkowała więc swe piórka, nakazała dzieciom, aby były grzeczne i poleciała z mężem na spacer.

— Ach, jak to przyjemnie bujać w słońcu — szeptała, przelatując z kwiatka na kwiatek, nurzając się w promieniach słońca i leciała coraz dalej. — Aż żał wracać do domu.

— Nie spiesz się — odparł małżonek — dzieciakom nic się nie stanie złego.

Latali więc swobodnie, nieprzeczuwając, że tymczasem ich dzieci omal nie umarły ze strachu. Bo do gniazda wpełzła ogromna gąsienica. Pewno, że orleża, sępięta i dzieci innych dużych ptaków nicby sobie nie robiły z gąsienicy, ale topazięta, które same nie były większe od majowych chrabąszczyków, przeraziły się okropnie, gdy ujrzały wpełzające do gniazda jakieś zwierzę, większe aniżeli one same.

Na szczęście jednak gąsienica nie zrobiła im nic złego, tylko zaczęła zjadać nieczystości znajdujące się na dnie gniazda. Jednakże przerażone pisklęta nie wiedząc po co przysłała gąsienica, zaczęły krzyczeć, co sił miały. Aż tu nadleciały rodzice. Matka ujrawszy gąsienicę, przeraziła się okropnie, ale dzielny ojciec nie stracił przytomności ani na chwilę.

— Weź ją za ogon — zawołał do żony — ja wezmę za łeb i wyrzucimy ją z gniazda.

Po chwili gąsienica leżała nieżywa pod krzakiem, zadziobana przez rodziców.

Ojciec przerażony tym wypadkiem, robił sobie wyrzuty, że namówił żonę do opuszczenia gniazda i przyrzekł sobie odtąd troskliwiej czuwać nad dziećmi. Zaraz więc postanowił przepatrzyć okolicę, czy nie grozi skąd jakie niebezpieczeństwo jego malutkiej rodzinie. Ale zaledwie obleciał krzak dokoła, spostrzegł, że poniżej jego mieszkania, inna para koli-

brów zakładała właśnie gniazdo. Zawrzał więc gniewem i krzyknął na sąsiada, który ośmielił się zamieszkać na tem samem co i on krzewie.

— A czyż to dla ciebie tylko rosną drzewa i kwitną kwiaty? — zawołał przybysz.

— A mało to masz kwiatów na innych krzewach? Idź mi stąd zaraz, bo jak nie pójdziesz, to cię wyrzucę.

— Zobaczmy kto kogo — zawołał nowy ptaszek i obaj maluchni zapaśnicy skoczyli ku sobie, porwali się za dzioby i zaczęli się kręcić w kółko tak szybko, jak fryga, którą się bawią dzieci. Wśród tej bójki przypadali aż do ziemi, tu puszczały się, wlatywali na gałęź, znowu kłócić się zaczynają i znowu powstaje bójka. Dwaj maleńcy nieprzyjaciele walczyli, jak prawdziwi rycerze, żaden nie chciał ustąpić — odpoczywali i zaczynali pojedynkę na nowo. Aż w końcu Topazik zwyciężył obcego kolibra i odpędził go daleko, daleko od swego gniazdka...

Teraz wrócił w tryumfie do żony i dzieci, którzy nie mogli się dosyć nadziwić jego męstwem, odwadze i sile.

Znowu minęło dni kilkanaście. W ciągu tego czasu topazięta zmieniły się nie do poznania. Urosły, zrzuciły szary puch i ubrały się w błyszczące piórka, całkiem tak samo, jak ich rodzice i zaczęły już latać.

Teraz mateczka nie potrzebowała tak ciągle czuwać nad niemi, bo wylatywały już same na świat i same się żywiły. Aż jednego dnia wyfrunęły z gniazda i nie wróciły wcale do niego. Znęciło je słońce, zielone krzewy, barwne kwiaty, roje pięknych i wesołych, jak one ptaszat. I dobrze zrobiły, bo właśnie krzew, który je wyhodował, opadł z kwiccia. — A gdy odkwitły kwiaty, wyfrunęły małe — rodzice także rzuciły gniazdo i poleciały dalej igrać, bujać i szukać nowych wrażeń.

Anna Lewicka.

ZAGADKI.

ZAGADKA ZGŁOSKOWA.

An — bro — dek — claw — dy — dłu — e —
fa — go — ha — in — i — ja — ka — ka —
— ki — kuck — ktarz — lin — le — mój — mos —
— re — sa — sa — ski — ty — ta — wa — za

Z powyżej podanych zgłosek ułożyć 12 wyrazów, których znaczenie jest następujące:

1. Główne miasto w prowincji Jakuckiej na Syberii.
2. Farba błękitna roślinna.
3. Stolica Egiptu.
4. Sala jadalna w klasztorach.
5. Wyspy na oceanie

Atlantykim. 6. Wyspa na północ Japonii. 7. Sławny mąż z czasów Stefana Batorego. 8. Rzeka w Hiszpanii. 9. Król czeski uznany świętym. 10. Wyspa grecka na morzu Egejskim. 11. Kronikarz polski żyjący w XII. i XIII. stuleciu. 12. Wyspa grecka na morzu Jońskim.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą dwie pierwsze litery imienia i całe nazwisko znakomitego pisarza polskiego, a litery końcowe samo nazwisko innego pisarza polskiego.

Z A G A K A

nadesłana przez Romana D.

Chciałbym lecieć prędzej — nie mogę,
Chciałbym odpocząć — śpieszno mi w drogę,
Wszystko lecę, wszystko zabijam,
Wszędzie jestem, choć zawsze mijam.

Rozwiązania zagadek z nr. 8. spóźnione nadesłali:
Zosia i Helcia Łopińskie, Alfred Chełmicki, Ludwik i Ma-
rya Lateinerowie, Marya, Jadwiga i Staś z Wymysłowa.

Korespondencye Redakcyi.

Wiñci i Zosi Z. we Lwowie. Na listę wkładek wpisałiśmy was, ale dalszą część wykazu ogłosimy aż się znowu zbierze większa ilość składających.

Cesi w Jasionowie. Zagadki twojej nie możemy umieścić, bo tylko początkowe litery tworzą wyraz do rozwiązania. Ułóż taką zagadkę zgłoskową, której początkowe i końcowe litery tworzą wyraz, a umieścimy ją prędzej. Jeżeli zaś i wynik rozwiązania i wyrazy w skład rozwiązania wchodzące, będą wszystkie ułożone z nazw geograficznych, historycznych, lub botanicznych, w takim razie możesz być pewną, że umieścimy ją bardzo prędko.

Adasiowi Ł. w Cezarówce. Na ostatni twój liścik, w którym mieściły się stokrotne całuski, odpowiedzieć nie mogliśmy, bo już miejsce nie starczyło. Dżś za to zasyłamy tobie serdeczne pozdrowienie.

Stasi M. w Zaleszczykach. Skądże ci to takie brzydkie myśli przychodzą do głowy, że redaktorka „Światka“ narzeka na twoje listy. Wcale nie, bo „Świątek“ lubi bardzo listy dzieci. Podobało mu się bardzo także, że wszyscy razem złożyliście się na zakupno książeczki. A czy i na szkołę w Białej składacie wszyscy? Czy zapisać tylko ciebie na listę składek, czy także Romcia i Miecia? Trójlistek kosztuje 80 ct.

Wandzi W. w Bohorodczanach. A napiszcie nam, jak się wam uda przedstawienie „Spisku w Majdanie“ i ile pieniędzy zbierzecie na budowę szkoły polskiej w Białej? I podajcie imiona wszystkich składających na szkołę w Białej, aby nie było pomyłki.

Kaziowi S. w Stanisławowie. Prenumerata twoja była zapłacona do 20. marca w kwocie 1złr. 15 ct. „Wielki“ przyjaciel, chociaż ma tytuł „małego“ zasyła ci serdeczne uściśnienie.

Alfredowi Ch. w Gościejowie. Rozwiązanie nadeszło za późno. Na serdeczne słowa odpowiadamy również serdecznym pozdrowieniem.

Oli Wr. w Bohorodczanach. Czy bardzo zmartwiłaś się, nie dostawszy odpowiedzi w poprzednim numerze? ale nie nasza to wina, gdyż list twój otrzymaliśmy za późno. Zagadka nie była rozwiązana całkiem dobrze, ale przysyłaj często rozwiązania, to i nagrodę otrzymasz.

Maryi, Jadwisi i Stasiowi w Wymysłowie. I wasz liścik otrzymaliśmy za późno. Do wykazu składek na Białą nadeszliście wasze nazwiska, gdyż i w Galicyi mamy dzieci z Wymysłowa, więc boimy się pomyłki.

Hali i Zosi w Monasterzyskach. Czy list jest krótki czy długi, to potrzebuje jednakowego czasu na przebycie przestrzeni między Monasterzyskami a Lwowem, dlatego to chociaż wasz ostatni był krótki, ale że wysłaliście go za późno, otrzymaliśmy go wówczas, kiedy numer był już wydrukowany.

Zoni i Helci L. w Piotrowie. I wasze rozwiązanie nadeszło późno, ale nie dziwiecie się, gdyż droga do was daleka.

Karolkowi M. w Olesinie. Naturalnie, że lekeye muszą mieć pierwszeństwo przed zagadkami. Na listę składek wpisałiśmy cię już.

Witoldowi M. we Wiedniu. Hm! hm! I „taki duży kawaler, jak uczeń I. klasy gimn. może jeszcze serdecznie uściśkać redaktorki „Małego Światka“ zwłaszcza, że one mają jeszcze starsze dzieci. Siostrzyczce powiedz, że wszystkie jej dawne nauczycielki zasyłają jej nawzajem serdecznego całuska.

Leszczkowi w Podgórzu. Cóż to za miesiąc obfity w imieniny i podarki! Ależ to masz ogromną bibliotekę. Paluszków na rączkach i nóżkach nie wystarczyłoby na obliczenie ich. A jak tam postępują duże literki?

Broni w Nowym Sączu. Mamusia ma słusność, że nie należy stroić się w eudze piórka — ale skoro książeczka jest już u ciebie, bo wysłaliśmy ją przed otrzymaniem twego listu, więc zostawiamy tobie prawo rozporządzenia nią. Nam tylko powiedz, co z nią zrobisz?

Guści H. w Zakopanem. A cóż ty tam takiego robisz, że jesteś tak mocno zajęta i tak ci brak czasu? Na listę składek wpisałiśmy cię. Numer 2-gi wysłany.

Jasiowi G. w Bochni. Nie wiemy dlaczego dostałeś numer 9-ty aż 14. marca, kiedy wysłaliśmy go jeszcze 9-go. Co się tyczy prenumeraty, to my wysyłamy 1-szy numer nie na Nowy rok, ale przed gwiazdką 20. grudnia, a więc 20. marca, 20. czerwca i 20. września rozpoczyna się dla „Małego Światka“ każdy nowy kwartał. Siostrzyczkom kłaniaj się pięknie, mamusi jeszcze piękniej.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów „Ubiory dla dzieci“.

Cennik magazynu pod firmą
KAUCZYŃSKI i OBERSKI
Lwów, ul. Karola Ludwika l. 7.
Filia ul. Halicka l. 6.

Siłomierze, ciężarki, meszty do gimnastyki po cenach najtańszych. Większe aparaty gimnastyczne na żądanie możemy dostarczyć. Liczymy podług cen fabrycznych. — Konie na biegunach do huśtania, silnie zrobione, pięknej formy, włosieniem wypehane, z siodełkiem z strzemionami, w zupełnej uprząży.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TREŚĆ: Józef Korzeniowski. — Kto winien? powieść z życia młodzieży warszawskiej przez Izę Moszczeńską. — Zbudź się, wiersz Jadwigi Z. — Ustęp z powieści bez tytułu J. I. Kraszewskiego. — Skrzydlate klejnoty, obrazek z natury, napisała Anna Lewicka — Zagadki. — Korespondencye redakcyi. — W dodatku: „Światełko“ i „Dodatek powieściowy“.

Wydawca: St. Rossowski.

Redaktorka naczelna: Anna Lewicka.

Za redakcyę odpowiedzialna: St. Kossowska.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Fr. Kattnera, ul. Sobieskiego l. 16.